

## **ANNA STAWICKA-KOŁAKOWSKA**

### **ELEMENT NIEZRESOCJALIZOWANY**



**Anna Stawicka-Kołąkowska (ur. 1964 r.), w końcu lat siedemdziesiątych uczestniczka opozycyjnych wieców rocznicowych organizowanych w Gdańsku. W październiku 1980 r. wstąpiła do Ruchu Młodej Polski. Zajmowała się drukiem biuletynu gdańskiego RMP, a od połowy 1981 r. „Bratniaka” oraz książek. Aresztowana w marcu 1982 r., po dwumiesięcznym śledztwie skazana na trzy lata pozbawienia wolności. Więziona w Zakładzie Kar-**

**nym Fordon w Bydgoszczy (jako 17-latką była najmłodszym więźniem politycznym w PRL). Po maturze (1984 r.) studiowała historię na KUL. Od października 1984 r. była kolporterem lubelskiej „Solidarności”, a później nawiązała kontakt z Liberalno-Demokratyczną Partią „Niepodległość”. Na przełomie lat 1985/1986 została szefem kolportażu w lubelskiej LDPN. Obecnie nauczycielka historii w Gimnazjum nr 11 w Gdańsku.**

Kiedy gen. Wojciech Jaruzelski zakomunikował całej Polsce, że wprowadza stan wojenny, chwyciłam nożyczki i brystol, żeby przygotować szablon z orłem w koronie, za pomocą którego zamierzałam nazajutrz obmalować ściany mojej szkoły – VI Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku. Niestety, wkrótce dowiedziałam się, że lekcji nie będzie do odwołania. Po raz pierwszy w życiu było mi z tego powodu przykro. O godzinie 18 udałam się do Bazyliki Mariackiej, gdzie co niedziela przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej Magdalena Modzelewska prowadziła modlitwę różańcową w intencji Ojczyzny. Ludzi do kaplicy Matki Bożej przyszło wtedy więcej niż zwykle, ale, niestety, nie miał kto poprowadzić modlitwy, bo Magda Modzelewska, podobnie jak większość ważniejszych działaczy, zo-

stała aresztowana. W tej sytuacji my, „mniej ważni”, przejęliśmy obowiązki i różaniec poprowadził Jan Chmielowski, a od następnej niedzieli, to jest od 20 grudnia 1981 r., ja (każde *Zdrowaś Maryjo* było poprzedzone mniej lub bardziej „antykomunistyczną” intencją).

30 grudnia w mieszkaniu jednego z moich kolegów wydrukowaliśmy około tysiąca ulotek informujących, że Ruch Młodej Polski pomimo aresztowań nadal istnieje i nie zaprzestajemy działalności. Ulotki rozkolportowaliśmy na terenie Trójmiasta, między innymi w kolejce SKM i gdańskich kościołach. W tym czasie konspiracja nie była naszą mocną stroną, bo na odwrócenie ulotki podaliśmy, że w każdą niedzielę, po mszy św. o godzinie 18, prowadzimy w Bazylice Mariackiej modlitwę różańcową w intencji aresztowanych. Kiedy już rozdaliśmy wszystkie ulotki, ktoś zauważył, że nie chcący sami oddajemy się w ręce esbecji, podając, gdzie można nas znaleźć. Postanowiliśmy więc odwołać zapowiedzianą modlitwę. Jeden z naszych kolegów, najstarszy, podjął bohaterską decyzję, że pójdzie do kościoła i w miarę możliwości konfidencjonalnie powie wiernym, o co chodzi. Jednakże gdy wszedł do kościoła i zobaczył tłum zgromadzony przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, desperacko poprowadził modlitwę. Kiedy ludzie skończyli się modlić, wychodząc z kościoła ze zdziwieniem spostrzegli, że od drzwi bazyliki do pobliskiej komendy MO na ulicy Piwnej funkcjonariusze MO utworzyli szpaler i jedyna droga wiedzie przez komisariat. Większość zatrzymanych po przesłuchaniu została zwolniona.

Kolegę, który prowadził modlitwę, aresztowano 3 stycznia 1982 r. pod zarzutem kolportowania ulotek. Prowadzący przesłuchania por. Marek Konieczko groził mu, że jeśli nie zacznie mówić, jego dziewczynie, która była w ciąży, stanie się krzywda. Zastraszony, załamał się i wszystko im powiedział. Na podstawie jego zeznań aresztowano trzy osoby. Esbecy usilnie indagowali go o dziewczynę, która już po ogłoszeniu stanu wojennego prowadziła różaniec w Bazylice Mariackiej, o mnie na szczęście wiedział niewiele. Wkrótce aresztowano jeszcze dwóch naszych kolegów – Arkadiusza Makara, u którego za pomocą matrycy i wałka drukowaliśmy nasze ulotki, i Dariusza Kaszubowskiego. Działaliśmy jednak dalej, a drukarnię przenieśliśmy do Bogdana Kwiatka. Nie pamiętam, o czym pisaliśmy w kolejnych ulotkach, ale z pewnością porównywaliśmy Jaruzelskiego do gen. Augusto Pinocheta. To nietrafne porównanie wynikało z naszej niewiedzy. Wydrukowaliśmy nawet plakat z Jaruzelskim stylizowanym na Pinocheta.

Po aresztowaniu Małgorzaty Chmieleckiej, „mózgu” naszej grupy, straciliśmy kontakt z ukrywającą się górą RMP. Po jakimś czasie zgłosił się do

mnie chłopak z RMP, starszy o kilka lat, na imię miał Benek. Znałam go sprzed stanu wojennego – pracował w stoczni. Za jego pośrednictwem złapałam kontakt z młodą kobietą – Grażyną. Twierdziła, że jest ze stoczniowej „Solidarności”, i namawiała nas, abyśmy dla dobra sprawy się jej podporządkowali.

Umówiliśmy się na kolejne spotkanie w kawiarni „Mocca” w Gdańsku Wrzeszczu. Grażyna nalegała, żebym przyprowadziła swoich wszystkich kolegów. Zachowaliśmy jednak zdrowy rozsądek i na spotkanie poszedł ze mną tylko Bogdan Kwiatek. Zgodnie z życzeniem Grażyny dźwigaliśmy w torbie cztery ryzy z trudem kupionego papieru (ekspedientka, sprzedając papier, porozumiewawczo puściła do mnie oczko). Kiedy dotarliśmy na miejsce, przed wejściem do kawiarni zobaczyliśmy samochód milicyjny. Zdecydowałam, że do środka wejdę sama i sprawdzę, czy wszystko w porządku, a Bogdan weźmie papier, schowa się za kioskiem i będzie czekał na mój znak. W kawiarni oczywiście było pełno esbeków i zomowców, uzbrojonych nawet w broń maszynową. Zrobiło mi się niezbyt przyjemnie, szczególnie kiedy jeden z nich podszedł do mnie z wycelowanym karabinem i zaczął dokumentów.

Nie pamiętam, czy wszystkich zabrali, pewnie nie zwróciłam na to uwagi. W nysce razem ze mną jechali Benek i Grażyna, ale udawaliśmy, że się nie znamy. Przed przesłuchaniem zatrzymanych zamknięto w jakiejś milicyjnej świetlicy, w której było też kilku uzbrojonych milicjantów czy może zomowców. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził, chudy zomowiec z długą szramą na twarzy bawił się bagnetem, inny coś majstrował przy broni. Ogólnie mówiąc, starali się stworzyć nerwową atmosferę. Nie potrafię powiedzieć, jak długo tam byłam, ale chyba niedługo. Przesłuchanie też krótko trwało. Esbek, udając amanta, mówił do mnie słodkim głosem, grożąc mi głównie wyrzuceniem ze szkoły. Powiedziałam mu, że zginął mi pies i zmęczona poszukiwaniem, zmarznięta, postanowiłam rozgrzać się w kawiarni herbatą. Byłam ogromnie zdziwiona, a nawet odczułam zawód, kiedy po tych wyjaśnieniach zostałam zwolniona. Tego się nie spodziewałam. Na pożegnanie usłyszałam jeszcze, że się ze mną skontaktują, jeśli będą potrzebowali jakichś informacji o tym, co się dzieje w szkole. Odparłam na to, że nie interesuję się polityką, a nawet nie wiem, o co chodzi z tym stanem wojennym. Nie podpisywałam żadnego zobowiązania, czyli tak zwanej lojalki.

Zaraz po wyjściu z komendy poszukałam automatu telefonicznego, zadzwoniłam do Bogdana i chyba się z nim gdzieś umówiłam. Oczywiście był przekonany, że chcę go zrobić i wystawić esbekom. Spakował więc do

małej torby najpotrzebniejsze rzeczy i uciekł z domu. W kolejce SKM spostrzegł mężczyznę, który mu się przyglądał. Od razu pomyślał, że SB już go inwigiluje. Gdy pociąg powoli zaczął ruszać z kolejnej stacji, otworzył drzwi i wyskoczył. Biegł po śniegu i wpadł do jakiegoś rowu. Zgubił czapkę i coś tam jeszcze. Nie wiem, kiedy przestał uciekać i gdzie się zatrzymał. Był bardzo zdziwiony, gdy po kilku dniach dowiedział się, że nikt do niego do domu nie przychodził ani o niego nie pytał.

Co się stało z Benkiem i Grażyną, nie wiem. Coś jednak było w tym dziwnego, bo jak się potem okazało, esbecy mnie wtedy poszukiwali, ponieważ jeden z wcześniej aresztowanych kolegów powiedział, że dziewczyna, która z nim drukowała i rozdawała ulotki, ma na imię Ania i chodzi do trzeciej klasy VI LO. Z naszej grupy nikogo oprócz mnie już jednak nie aresztowano.

Na kilka dni przed moim aresztowaniem do szkoły przyszło dwóch esbeków. Zabrali zdjęcia wszystkich dziewczyn z trzeciej klasy o imieniu Ania i pokazali je na przesłuchaniu obu chłopcom – wskazali oczywiście mnie. Tego samego dnia do mojej mamy zadzwonił nauczyciel przysposobienia obronnego i powiedział jej o wizycie SB w szkole. Zarówno on, jak i szkolna sekretarka wiele ryzykowali, uprzedzając mnie o tym. Po tym ostrzeżeniu mieszkanie zostało wyczyszczone i przygotowane do rewizji. Sąsiad zakopał w ogródku wałek do drukowania, który zrobił mi na zamówienie ojciec jednej z koleżanek, tokarz ze stoczni. Wszystkie „nielegalne” papiery mama wrzuciła do pieca. (Mama nie wierzyła, że mogą mnie zamknąć w więzieniu, uważała, iż jestem za młoda. Sądziła, że najwyżej zostaną wyrzucona ze szkoły). Niestety, straciłam wówczas między innymi materiały z okresu strajków sierpniowych, wszystkie numery biuletynu „Rozwaga i Solidarność” i skrzętnie gromadzone plakaty wydawane przez „Solidarność” przed 13 grudnia 1981 r.

2 marca 1982 r. podczas przerwy przysłała po mnie pani wicedyrektor i poprosiła do swojego gabinetu. Gdy zobaczyłam dwóch tajniaków, zrobiło mi się gorąco. Wicedyrektor powiedziała, że pojedzie z nimi na przesłuchanie. Na korytarzu smutnym spojrzeniem pożegnał mnie pan od p.o., po czym od razu zadzwonił do mojej mamy. Przez wujka, proboszcza Bazyliki Mariackiej, ks. Stanisława Bogdanowicza, wiadomość o moim aresztowaniu natychmiast dotarła do zachodnich dziennikarzy. Zanim mnie umieszczono w piwnicach Komendy Wojewódzkiej MO, informację o tym już przekazywały rozgłośnie zachodnie: Radio Wolna Europa i Głos Ameryki. Od siebie dodali, co nie było prawdą, że ze szkoły zostałam wyprowadzona w kajdan-

kach. (Następnego dnia, kiedy moja mama jechała taksówką, kierowca zapytał się jej, czy słyszała, że aresztowano 17-letnią uczennicę liceum, po którą zomowcy przyjechali do szkoły skotem).

Aresztowano mnie około 10 rano i przez cały dzień, do godziny 18.00, byłam przesłuchiwana. Najpierw na Okopowej 4, potem w prokuraturze Marynarki Wojennej w Gdyni. Funkcjonariusz SB Marek Konieczko udawał miłego i grzecznego (wiedziałam, że w rzeczywistości wcale taki nie jest, bo znęcał się nad moją przyjaciółką Małgosią Chmielecką, studentką drugiego roku polonistyki). Co jakiś czas przychodził drugi esbek. Ten mnie straszyl, że jak nie zacznę mówić, to mnie załatwią. Pochylając się nad moją głową, wrzeszczał i ordynarnie przeklinał. Prokurator Andrzej Ring, suchy i zgorzkniały, rozmawiał ze mną jakbym była zwykłą kryminalistką. Próbował mnie nastraszyć, iż z pewnością znajdą metodę, abym zaczęła mówić. Uparcie twierdziłam, że nic nie wiem, nigdy nie rozdawałam żadnych ulotek i nigdzie nie działałam. Przyjęłam taką postawę w śledztwie, bo mój wujek, ks. Bogdanowicz (który w 1966 r. jeszcze jako kleryk siedział w komunistycznym więzieniu), opowiedział mi kiedyś historię o pewnym akowcu, który po wojnie, otoczony przez ubeków, ostrzeliwał się z broni maszynowej na dworcu w Poznaniu. Kiedy ubecy dopadli w końcu rannego akowca, wyparł się wszystkiego, twierdząc, że to nie jego broń i że to nie on strzelał. Bardzo mi się ta historia spodobała. Zresztą wujek zawsze mnie przestrzegał, żebym w razie aresztowania do niczego się nie przyznawała.

Esbecy usilnie poszukiwali mojego kolegi Andrzeja, z którym rozdawałam ulotki. Z całej naszej grupy tylko ja wiedziałam, jak się nazywał. Nigdy się nie dowiedzieli, kto to był. Dwie osoby z naszej sprawy – Małgorzata, studentka drugiego roku polonistyki, i Arkadiusz, uczeń trzeciej klasy LO – przyznały się do zarzucanych im czynów, ale nikogo nie wydały. Natomiast dwaj chłopcy nie wytrzymali śledztwa i wszystko powiedzieli. Żał mi ich, pamiętam, jak bardzo byli załamani podczas konfrontacji. Esbecy przyprowadzili mnie do celi, po czym pojedynczo wprowadzali moich kolegów. Dwóch z nich potwierdziło, że drukowałam i rozdawałam z nimi ulotki, a trzeci, Arek, wyparł się znajomości ze mną. Ja z uporem twierdziłam, że ich nie znam.

Przez tydzień siedziałam w Komendzie Wojewódzkiej przy Okopowej. Areszt śledczy był w głębokiej piwnicy. Przez umieszczone wysoko pod sufitem, zablendowane okno światło prawie nie docierało. W celi stały trzy betonowe łóżka w kształcie sarkofagu, na każdym cieniutki materac. Metalowy kubeł zastępował muszlę klozetową. Codziennie rano musiałyśmy go opróżniać.

Umieszczono mnie w jednej celi z kryminalistką, niewiele przypominającą kobietę. Umieśniona, wytatuowana, pocięta „Basiura” była żywą historią więziennictwa. Początkowo miałam wrażenie, że łatwiej by mi było zrozumieć aborygena, bo „Basiura” posługiwała się zaawansowaną grypsersą i po polsku mówiła potwornie niegrammatycznie. Chwała Bogu, że nie siedziałam z nią sama. Była z nami jeszcze jedna więźniarka, polityczna, która poszła na współpracę z esbekami (o czym wtedy nie wiedziałam), ale że na wolności zostawiła córkę, okazywała mi dużo ciepła.

Po tygodniu zostałam przewieziona do aresztu śledczego na Kurkowej 5. To potężne i ponure gmaszysko jeszcze kiedy byłam na wolności budziło we mnie grozę. Najpierw umieszczono mnie w pomieszczeniu, które przypominało izbę przyjęć, gdzie w towarzystwie starych kryminalistów, różnorakiego autoramentu, czekałam na przeniesienie na oddział. Oczywiście wszyscy byli bardzo zainteresowani, dlaczego taka młoda dziewczyna znalazła się w areszcie.

W pewnym momencie strażnik, który przyjmował więźniów, zwracając się do mnie po imieniu, zawołał mnie do dyżurki (co w więzieniu się nie zdarzało). Okazał mi wiele serdeczności, zrobił herbatę, przestrzegł, żebym z byle kim nie rozmawiała i była ostrożna. Dwa miesiące później, kiedy szłam więziennym korytarzem na sprawę, mijając mnie, życzył mi powodzenia i obiecał, że będzie trzymał za mnie kciuki. Wspominam o tym, ponieważ służba więzienna była przeważnie wredna, traktowała nas z nieskrywaną pogardą. Trafiłam także na jeszcze jednego bardzo przyzwoitego strażnika, Marka, który odprowadzając mnie do celi po wizycie u naczelnika, powiedział mi, kiedy zostaliśmy sami: „Nie martw się, «Solidarność» zwycięży”. Potem przynosił mi grypsy od mamy.

Ku mojej wielkiej radości zostałam umieszczona w celi, w której siedziały same więźniarki polityczne. Radość była tym większa, że w tej samej celi była moja koleżanka Małgosia. Oprócz niej jeszcze dwie panie – Renia i starsza, Alinka. Pani Alinka wkrótce wyszła, a Małgosię zabrano do szpitala. Na ich miejsce przyszły nowe dziewczyny – Wiesia i Janka. Z chleba zrobiliśmy kości do gry, a z pudełek od zapalek karty. Grając w brydża, uprzyjemniałyśmy sobie czas. To było surowo zabronione, więc trzeba było tak grać, żeby nas nie złapali, i oczywiście mieć dobre skrytki na akcesoria do gry. Więzień przyłapany na tym „niecnym” zajęciu stawał do raportu przed wychowawcą oddziału, po czym dostawał karę, na przykład był pozbawiany paczki żywnościowej. Miejsca w celi było tak mało, że kiedy odstawialiśmy stolik od ściany, żeby czwarty do brydża miał gdzie usiąść, jedna z nas

musiała siadać na sedesie. Strażniczki poruszały się bardzo cicho, nigdy nie słyszałyśmy, kiedy podchodziły pod drzwi naszej celi. Nagły szcęk klucza w zamku zawsze mnie porażał, robiło mi się okropnie gorąco i niemal sztywniałam – nie dlatego że się bałam, ale dlatego że trzeba było szybko ukryć karty lub kości i natychmiast stanąć na baczność. W końcu uzyskaliśmy zgodę naczelnika na grę w karty, a nawet na sprowadzenie prawdziwej talii.

Na całym oddziale żeńskim była tylko jedna cela „polityczna”, natomiast nad nami, piętro wyżej, był oddział polityczny dla mężczyzn. Siedziało ich około setki. Raz dziennie wyprowadzano nas razem z więźniarkami kryminalnymi na półgodzinny spacer. Jeden strażnik z karabinem obserwował więźniarki z koguta<sup>1</sup>, a drugi, bez karabinu, pilnował, żebyśmy się ze sobą nie porozumiewały. Generalnie obowiązywała zasada: chodzić w kółko, gęsiego, nie rozmawiać, nie zatrzymywać się. Spacerniak był szary, ponury i wybetonowany. Gdy byłyśmy na spacerze, często urządzano nam w celi kipisz, to znaczy przewracano wszystko do góry nogami w poszukiwaniu zakazanych przedmiotów: igieł, nici, żyłek (atrybut każdego więźnia, niezbędny do sporządzenia tak zwanej betoniary<sup>2</sup>). Zabierano też wszelkie zapiski, na przykład pamiętniki, wiersze.

Z więźniarkami kryminalnymi żyłyśmy w zgodzie, traktowały nas nawet z szacunkiem, między innymi dlatego, że miałyśmy odwagę ich bronić. Kiedyś w nocy do celi obok wpadła tak zwana atanda<sup>3</sup> i strażnik uderzył w twarz młodą dziewczynę osadzoną za pospolite przestępstwo. Uderzył ją mocno, bo było wyraźnie słyhać. Zaczęłyśmy walić w drzwi, domagając się wyjaśnień, i o ile dobrze pamiętam, złożyłyśmy do naczelnika skargę w tej sprawie.

Innym razem klawisz próbował jedną kryminalną pozbawić „wypiski”, na co też ostro zareagowałyśmy, broniąc jej. Strażnik zapytał wtedy, czy jestem jej adwokatem, odparłam, że nie, dodałam jednak, że dla niego z pewnością będę prokuratorem.

W kwietniu 1982 r. w Sądzie Marynarki Wojennej w Gdyni odbyła się nasza rozprawa, a 22 kwietnia zapadł wyrok. Zostałam skazana na trzy lata pozbawienia wolności. Moja rodzina robiła, co mogła, aby wyciągnąć mnie z więzienia. Na rozprawie świadkiem obrony była koleżanka mojej mamy,

---

<sup>1</sup> Kogut – w gwarze więziennej: budka obserwacyjna.

<sup>2</sup> Betoniara – w gwarze więziennej: mocna herbata, sporządzana przez więźniów.

<sup>3</sup> Atanda – w gwarze więziennej: uzbrojeni w pałki strażnicy więzienni z działu ochrony, grupa interwencyjna.

która zeznała, iż w dniu, kiedy rozdawałam ulotki, leżałam w łóżku chora, z wysoką gorączką. W mojej obronie zeznawała też lekarka, dr Wyszomirska. Powiedziała, że tego dnia została wezwana do naszego mieszkania do chorej, że ja byłam tą chorą, na dodatek ciężko i z wysoką gorączką. Ksiądz Bogdanowicz napisał oświadczenie, że w bazylice nie rozdawano żadnych ulotek.

Niestety, sąd przychylił się do obciążających mnie zeznań moich dwóch kolegów, pomimo iż trzeci – Arkadiusz Makar – powiedział, że mnie nie zna. Paradoksalnie chłopak, który nas obciążył, licząc na łagodniejszy wyrok, dostał pięć lat, pozostali cztery i trzy lata. Zostaliśmy skazani za „udział w związku przestępczym, mającym cele przestępne, czyli organizacji o charakterze bandy posługującej się nazwą Ruchu Młodej Polski” oraz za rozkolportowanie ulotek, „w treści których znajdowały się stwierdzenia, iż osoby internowane przetrzymywane są w obozach koncentracyjnych, rządu w kraju sprawuje dyktatura wojskowa, a ponadto, w których Wojskową Radę Ocalenia Narodowego określa się mianem Junty Zniszczenia Narodowego”. Przewodniczący składu sędziowskiego, znany z wydawania wysokich wyroków kmdr ppor. Andrzej Grzybowski, przez cały proces głupkowato się uśmiechał. Inny sędzia, por. Aleksander Głowa, ucinał sobie na sali rozpraw długie drzemki. Podczas procesu na sali sądowej były obecne nasze rodziny, a pod budynek sądu przyszło mnóstwo znajomych. Po ogłoszeniu wyroku podniósł się krzyk: „Bydlaki! Bandyaci!”, a mój ojciec napluł prokuratorowi pod nogi.

1 maja 1982 r. zapadła decyzja, że następnego dnia pojedą „w transport”. Oczywiście przed więzieniem trzymano to w tajemnicy, ale informację o tym przeczytał Marek, strażnik, o którym wcześniej wspomniałam. Po zakończeniu służby pojechał do moich rodziców i powiedział im, że nazajutrz wywiozą mnie do więzienia w Fordonie<sup>4</sup> oraz że wraz z dwoma dobrymi kolegami będzie ten transport konwojować. Tym samym transportem do Fordonu przewożono moją koleżankę z celi, Wiesię.

Gdy samochód przekroczył bramę aresztu, nie mogłam się nacieszyć widokiem zieleni. Wcześniej, na rozprawę sądową, przewożono nas „łodową” bez okien. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy patrzyłam na coś innego niż beton spacerniaka. Moje zdziwienie było jeszcze większe, kiedy kierowca skręcił w stronę Stogów<sup>5</sup>, gdzie mieszkali moi rodzice. Strażnicy, narażając się ogromnie, przywieźli mnie na pięć minut do domu. Trudno

---

<sup>4</sup> Fordon – dzielnica Bydgoszczy.

<sup>5</sup> Stogi – dzielnica Gdańska.



opisać radość i wzruszenie wszystkich obecnych (w pokoju na pierwszym piętrze ukrywali się moi dwaj koledzy z konspiracji). Później, po drodze do Fordonu, konwojenci zatrzymali się jeszcze przy jakimś zajeździe i zabrali nas na obiad. Oczywiście musiałyśmy udawać, że nie jesteśmy więźniarkami. Nie wiem, czy to wyszło na jaw, prawdopodobnie tak, bo niedługo potem wspomnianych strażników wyrzucono z pracy.

Kiedy dotarliśmy do celu, oczom naszym ukazał się ponury widok. Pomyślałam sobie: trudno, więzienie to nie sanatorium. Dostałyśmy obrzydliwe, szare, zniszczone mundurki i męskie trzewiki. Niewątpliwie dobrą stroną tego więzienia było to, że wszystkie więźniarki polityczne siedziały na jednym oddziale, w sumie około 30. Dziewczyny były wspaniałe, bardzo pogodne, dzielne. Na każdym kroku broniły swojej godności, zawsze gotowe do różnego rodzaju protestów. Następnego dnia po naszym przyjeździe zapadła decyzja o rozpoczęciu głodówki, która miała trwać do osiągnięcia zamierzonego celu. Co prawda, nie przypominam sobie, o co chodziło, ale pamiętam, że szóstego dnia przyniosła ona pozytywny skutek.

Więzienie w Fordonie było nieprawdopodobnie zakaraluzzone. W nocy natomiast z różnych kątów wychodziły pluskwy, które nas boleśnie kąsały. Mnie upodobały sobie szczególnie, tak że cała byłam przez nie pogryziona. Chociaż sama nie wiem, co było gorsze: pluskwy czy wrzask oddziałowej o godzinie 6 rano: „Pobudka!”. Bardzo wiele zawdzięczam koleżankom z celi: Wiesi, Izie, Iwonie i Irencie. Wiesia miała mnóstwo doskonałych pomysłów na pozytywne spędzanie czasu, nierzadko wymyślała nam różne rozrywki. Dzięki niej poprawiłam się znacznie z ortografii, zaczęłam sięgać po bardziej ambitną niż przedtem literaturę. Iza była niezwykle dzielna, nigdy nie okazywała słabości, pomimo iż jej było najciężej, bo w domu czekała na nią dwójka małych dzieci. Irenka, z zawodu pielęgniarka, sporządziła dokładny raport o stanie opieki medycznej w więzieniach. Raport był bardzo obszerny, ponieważ zanim Irenka trafiła do Fordonu, „zwiedziła” kilka zakładów karnych, zbierając w nich relacje o oddziałach szpitalnych. Przeszmuglowała go w czasie widzenia z rodziną, po czym przeczytało go Radio Wolna Europa. Iwona, bardzo wesoła i uczuciowa, dużo czytała i lubiła wnikliwie analizować różne problemy.

Im dłużej siedziałyśmy, tym bardziej buntowałyśmy się przeciwko regulaminowi więziennemu. Przestałyśmy stawać na baczność przed klawiszami, kiedy otwierali cele. W ciągu dnia leżałyśmy na pryczach, co było zabronione, można było tylko siedzieć na taborecie lub chodzić po celi. W końcu przestałyśmy wstawać na apel. Oczywiście byłyśmy za to ciągle karane

pozbawieniem paczki żywnościowej, zakazem wyjścia do świetlicy na telewizję (co wywalczyłyśmy sobie po jakimś czasie) lub prowadzenia korespondencji, a w ostateczności widzeń. Dzięki temu jednak czułyśmy się w więzieniu wolne.

Wielkie znaczenie miała dla nas także pomoc, którą otrzymywały nasze rodziny, a my za ich pośrednictwem, od Kościoła i działających przy każdej parafii sekcji charytatywnych. Pamiętali o nas i przesyłali nam pozdrowienia nie tylko znajomi, ale nawet zupełnie obce osoby (do naszych rodzin przychodziły listy z zagranicy, w których zwykli ludzie wyrażali solidarność z uwięzionymi). To nas podnosiło na duchu. Moje koleżanki i koledzy z klasy uzbierali okazały worek słodczy, o które w tym czasie było bardzo trudno, ale, niestety, mama nie uzyskała zgody naczelniczki więzienia na przekazanie mi ich i musiała je zabrać z powrotem do Gdańska.

Pewnego dnia zostałam przeniesiona do innej celi. Nazajutrz po apelu wystawiłam mandżur<sup>6</sup> na korytarz, sama też wyszłam i powiedziałam strażniczce, żeby otworzyła drzwi do mojej poprzedniej celi, bo chcę wrócić do koleżanek. Prerażona oddziałowa wezwała szefa ochrony, niejakiego Szweda, i chyba jego zastępcę, Paczkowskiego. Wykręcili mi ręce i zaciągnęli na dyżurkę. Nigdy nie zapomnę reakcji moich koleżanek. Dziewczyny z wszystkich cel zaczęły walić w drzwi tym, co miały pod ręką. Podniosły ogromny rwetes, a tak głośno krzyczały, z taką determinacją starały się mnie bronić, że strażnicy naprawdę się wystraszyli. Nazajutrz przeniesiono mnie z powrotem do moich koleżanek.

Naszym ulubionym zajęciem było pisanie skarg. Któregoś dnia, po napisaniu kolejnej skargi, przyszedł na nasz oddział sędzia penitencjarny Michał Łęcki. Zachowywał się bardzo kulturalnie, najpierw wyprosił z celi więzienną wychowawczynię (wyjątkowo wredną babę), uścisnął nam dłonie i długo z nami rozmawiał. Obiecał, że zajmie się zgłoszonymi przez nas problemami, a na odchodne obiecał, że wróci z przepustką dla mnie. I rzeczywiście po mniej więcej dwóch tygodniach zostałam wezwana do naczelniczki. W jej gabinecie siedział sędzia Łęcki. Poinformował mnie, że mogę uzyskać roczną przerwę w odbywaniu kary w celu kontynuowania nauki, ale najpierw muszę podpisać lojalkę, że nie będę prowadziła żadnej działalności politycznej. Oczywiście odmówiłam. Wychowawczyni Stefania, czerwona ze złości, krzyczała, że jestem zupełnie niezresocjalizowana,

---

<sup>6</sup> Mandżur – w gwarze więziennej: tobolek z zawiniętymi w koc rzeczami więźnia.

bo nie chciałam się po wejściu do gabinetu naczelniczki zameldować. Kazała mi powtarzać: „Obywatelko naczelnik, skazana Anna Stawicka melduje swoje przyjsie”. Wściekła się strasznie i wyrzuciła mnie za drzwi.

Za jakiś czas wezwano mnie po raz drugi i pan Łęcki znowu usilnie mnie namawiał do podpisania lojalki. Ja uparcie odmawiałam. Stefania znowu w krzyk, że ona się nie zgadza, bo ja jestem taki element, który trzeba w więzieniu resocjalizować, a nie robić mi taką łaskę. W końcu sędzia zapytał mnie, co chcę robić na wolności. Odparłam, że zamierzam skończyć szkołę. To mu wystarczyło. Podpisał zgodę na roczną przerwę w odbywaniu kary. Gdy opuszczałam więzienie, dziewczyny z wszystkich cel stały przy oknach. Żegnały mnie, śpiewając na całe gardło piosenkę z repertuaru Jacka Kaczmarskiego: „wyrwij murom zęby krat...”. To było tak wzruszające, że łzy ciekły mi po policzkach.

Kiedy razem z mamą weszłam do gabinetu dyrektora VI LO w Gdańsku, szeroko otworzył ramiona i kiepsko udawał ucieszonego. Zapewniał, że chociaż straciłam pół roku nauki, miejsce w klasie na mnie czeka, i że zrobi wszystko, abym do niej wróciła. 3 września 1982 r. na mocy decyzji wicekuratora oświaty w Gdańsku Alfonsa Machalicy zostałam jednak ze szkoły relegowana i pozbawiona prawa do nauki.

*Sławomir Cenckiewicz*